TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 32. *Chicago, Ills., 4 Lutego, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

XLII.

Skoro pan Elworthy objął zarząd Opactwa, zaczął na nowo czynić poszukiwania dla znalezienia piastunki i testamentu sir Williama, ale wszystkie jego trudy zostały bezowocne. Udając się do ostatniego środka, kazał prosić do siebie Nichollsa, który już nad tem rozmyślał, czyby nie lepiej było opuścić zamek, jak to zrobiła jego sędziwa przyjaciółka, mistress Jarmy. Wstrzymywało go tylko uczucie przywiązania do nieboszczyka baroneta; nie chciał, by ciało jego pod strażą samych obcych ludzi zastawało.

Notaryusz siedział w izbie ochmistrzyni, którą wybrał dla tego, że bliższą była wspólnej domowników. Przybory do pisania leżały przed nim na stoliku, gdy wszedł stary piwniczy; bez wątpienia musiał robić notatki i zapisywać całodzienne czynności i poszukiwania.

— Panie Nicholls, usiądź sobie, proszę cię, — przemówił do wchodzącego, — nie rób sobie żadnej subjekcyi; wiem żeś był zaszczyco-

ny zaufaniem mojego szlachetnego i nieodżałowanego klienta.

— Tak jest, panie, pod względem sreber stołowych i kluczów od piwnicy.

— Dawnoż tu zostajesz?

— Blizko pięćdziesiąt lat.

— Tu się notaryusz zatrzymał, nie wiedząc jakiby stosowny dać obrót swoim wypytywaniom.

— Ten zamek to starożytny gmach i dosyć szczególnej budowy — przemówił znowu.

— To prawda, panie.

— Takie odwieczne budynki miewają pospolicie mnóstwo zakamarków i kryjówek, bardzo nie łatwych do znalezienia dla tych, którzy nie są w nie wtajemniczeni.

— To bardzo być może, łaskawy panie.

— Bez wątpienia znajdują się i tutaj podobne?

Nicholls okazał zdziwienie; ale przyznał, że słyszał coś o nich.

— I znasz wchód do tych kryjówek? — zapytał notaryusz poufale.

— Piwniczy zaprzeczył pokręcając głową.

— Wiadomo ci, — mówił dalej pan Elworthy w mniemaniu, że to wahanie starego sługi pochodziło z powodu powątpiewania o jego zamiarach, — wiadomo ci, że wasz pan pokładał we mnie zaufanie?

— Wiem o tem doskonale.

— I że mam powody uczciwe zadając ci te pytania? Zresztą, wszak tu i waszą korzyść mam na względzie. Sir William testamentem swoim zabezpieczył hojnie los wszystkich służebników swoich. Otóż testamentu tego znaleść nie możemy, a mam wszelkie powody mniemać, że się w Opactwie znajduje ukryty!

— To bardzo być może, łaskawy panie; ale nie mogę w tej mierze dać żadnych wskazówek. Opowiadano mi rzeczywiście wiele ciekawych historyi o tem zamczysku, o komnatach, gdzie kilkanaście osób mogło się ukrywać, ale wejścia do nich wcale mi nie są znane. Te opowiadania mogły być prawdziwe, a może też były zmyślone. Mnie się zdaje, że jedynym człowiekiem, któryby o tem coś pewnego mógł wiedzieć, jest stary, biedny Marcin; on ciągle łaził po tych wszystkich zakamarkach!

— I sądzisz, że wiadome mu są te kryjówki?

— Jestem tego pewny.

— I że nikt więcej prócz niego nie wie o nich?

Piwniczy wahał się z odpowiedzią.

— Powiedz śmiało! — ciągnął dalej notaryusz. — Pamiętaj o tem, że przez to nie tylko spełnisz obowiązek święty względem twojego zmarłego pana, bo i wasze własne korzyści od tego zależą!

— Nie potrzebuję do tego wcale tej ostatniej pobudki, — odpowiedział Nicholls po chwili milczenia, — ale nie wiem, czy warto powtarzać to, co miałbym do powiedzenia.

Elworthy zapewnił go, że najdrobniejszy szczegół może być niekiedy wielkiej ważności.

— Otóż więc, — zaczął piwniczy, — słyszałem razu jednego, jak się chwalił Will Sideler, nadzorca królikarni, że zna tajemne kryjówki Opactwa równie dobrze jak sam stary Marcin, że dom ten podobny jest do nor króliczych, i że w tych murach znajduje się tyle schodów i korytarzy tajemnych, ileby potrzeba na wygodne urządzenie dwunastu domów nowoczesnych.

Notarjusz zanotował to nazwisko.

— Gdzie mieszka ten Will Sideler? — zapytał.

— Tego nie umiem panu powiedzieć.

— Zdaje mi się, żeś dopiero mówił, iż jest królikarzem?

— Był nim, ale sir William odprawił go ze służby, jest temu ze dwa tygodnie.

Pan Elworthy zrobił drugi zapisek, potem zamknął pugilares.

— Dosyć na teraz, — rzekł dziękując piwniczemu.

Nicholls skłonił się i wyszedł, zostawiając notaryusza pogrążonego w zadumaniu.

Miał bo też istotnie wiele do myślenia.

XLIII.

Miran-Hafaz zupełnie już wyleczony z rany otrzymanej w pojedynku z Henrykiem Ashton, przechadzał się w opustoszałym salonie willi Bungalore-Hall; wyglądał zadowolniony, nawet wyraz tryumfu malował się w jego obliczu. Zgon baroneta usunął jedną przeszkodę między nim a Elleną, i pewny był, że zniweczy łatwo wszelkie inne zapory, które go jeszcze dzieliły od przedmiotu swej namiętnej miłości.

W Indyach mało cenią życie człowieka; nie uważają za żadną nikczemność oswobodzenie się od natarczywego wroga; puginał i trucizna uchodzą za prawną broń powszechnie; kto ich najkorzystniej użyje, bywa uznany za najzręczniejszego. Ztąd też i Miran, który wstydziłby się niedotrzymać danego słowa, nie doznawał żadnych wyrzutów sumienia za to, że kazał sir Williama zamordować. Nie byłby się skłonił do powiedzenia kłamstwa dla pozyskania celu swych najgorętszych życzeń, bo kłamstwo poniżyłoby go w jego własnem przekonaniu, ale zabójstwo było w jego oczach ofiarą na ołtarzu konieczności, jedynego bóstwa jakie uznawał!

— Ona mi ujść nie może! — mówił sam do siebie, — musi być moją, w nagrodę mojej nadziei i moich srogich katuszy! Naprózno ludzie białego plemienia chcieliby stanąć na przeszkodzie moim żądzom. Ona stworzoną jest dla mnie; los mnie nie zawiedzie! Wydobyłbym ją nawet z objęcia śmierci!

W tem otworzyły się drzwi salonu i Khan wszedł do komnaty. Pierwszy to raz od czasu śmierci sir Williama ujrzeli się z sobą; twarz starca była nadzwyczaj blada, ale z jego ust zaciśniętych i zapadłych oczu można było wyczytać jakieś silne postanowienie.

— Nie wołałem cię! — rzekł Miran, usiłując ukryć pod zasłoną pychy pomięszanie na widok swojego poważnego towarzysza i dawnego mentora.

— Wiem o tem doskonale, — odrzekł renegat, — od czasu, jak znalazłeś nowych przyjaciół, nowych doradzców, obecność moja stała ci się natrętną!

Miran Hafaz milczał; z dawnych zalet pozostala mu jeszcze jedna: zamiłowanie prawdy.

— Przyszedłem, — mówił dalej Khan, — nie chcąc cię porzucić bez wyrzutów pożegnania i zdrowej rady:

— Porzucić mnie?

— Tak jest!... Młodzian, któregom kochał i pielęgnował jak wierny przyjaciel, nie jak najemniczy sługa, nie jest już godny mojej przyjaźni; wszedł na krętą ścieżkę zbrodni, sprzymierzył się z nędznikiem, którego sama obecność zaraża powietrze w pobliżu niego; spodlił się aż do nikczemnego skrytobójstwa wśród nocy!

— Czy masz ochotę mnie wydać? — zapytał Miran.

Na to pytanie obelżywe Khan utopił tak przenikliwe spojrzenie w obliczu Indyanina, że ten musiał spuścić oczy przed nim.

— Mógłbym cię zabić, — rzekł, ale zdradzić nie umiem.

— Dla czegoż mnie chcesz opuścić?

— Bo nie mogę już mieć szacunku dla ciebie. Nie staraj się zmienić mojego postanowienia, bo jest nieodwołalne!

— Nie będę się na to wysilał, — odparł młodzieniec z pogardą, — nie możesz być bardziej znudzony służbą u mnie, jak mnie się mój opiekun uprzykrzył!

— Dla tego, że nie pochlebiam twoim złym namiętnościom... rozumiem... już tak daleko zabrnąłeś na drodze występku, że najwierniejszy przyjaciel nie może podążyć za tobą!

Miran odwrócił się z oznakami niecierpliwości.

— Oto rada, jaką ci jeszcze mogę udzielić, chociaż nie mam nadziei, ażebyś jej usłuchał, — dodał Khan. — Wracaj niezwłocznie do Indyi! — Znajdujesz się w kraju, gdzie sąd jest silniejszy niż twoja wola nieugięta, a tak cierpliwy, że z największą wytrwałością postępuje za najlżejszą poszlaką zdolną zaprowadzić do odkrycia skrytobójcy. Dlugie lata upłynąć mogą, nim się sprawiedliwość znuży poszukiwaniem. Choć chód jej jest powolny i cichy, ale pewny; ramię jej żelazne, a jej ciosy śmierć zadają!

— Czy myślisz mnie zastraszyć złowrogiemi przepowiedniami? — zapytał młodzian śmiejąc się szyderczo. — Nim owa późna sprawiedliwość zdoła mnie dosięgnąć, Ellena dawno już do mnie należeć będzie! W objęciach swojego małżonka, w swoim rodzinnym kraju, zapomni o swojej chwilowej miłości, ku mojemu nędznemu rywalowi!

— Nie zapomni go nigdy! nie znasz jej wcale!

— Ale znam siebie samego!

— A więc pozostaje mi już tylko pożegnać się z tobą!... Jednak, chociaż rozstajemy się teraz, to nie na zawsze. Dałby Bóg aby nasze rozłączenie wiecznem było!... Kiedy się spełni przepowiednia, którą gardzisz, gdy nieszczęście, przed którem cię ostrzegam, osłoni cię swoim czarnym cieniem, natenczas się zejdziemy: Ale się boję, że ta chwila straszną będzie dla nas obu!

— Marzycielu! — zawołał Miran.

— Niedowiarku! -- odparł Khan smutnie, oddalając się wolnym krokiem.

W godzinę później starzec opuścił willę, nim młody Indyanin namyślił się prosić go o pozostanie nadal, lub przeszkodzić za pomocą jakiego podstępu jego wyjazdowi, a wszelkie czynione poszukiwania dla odkrycia jego schronienia były nadaremne.

Tego jeszcze wieczora opowiedział Miran pułkownikowi Mowbray, — który nie ośmielał się jeszcze przybrać tytułu baroneta, nie mając dowodu śmierci syna swojego brata, — jaką miał rozmowę z Khanem, wszelako z opuszczeniem powodów jego odjazdu; bo nigdy między nimi mowy nie było o sposobie śmierci sir Williama.

— Zdaje mi się, —rzekł pułkownik po chwili zastanowienia, -— ten starzec nadzwyczajnie zajmuje się powodzeniem tego Henryka Ashton, którego zarozumiałe nadzieje, stronniczość brata mojego, dziwnym sposobem zachęcała!

— Ale te są już teraz całkiem zniweczone! — odparł Miran.

— Bez wątpienia! prawnie i moralnie jestem opiekunem mojej siostrzenicy. Skoro się ukończą te smutne obrzędy śledztwa i pogrzebu, zabiorę ją z sobą do Londynu.

— Nie ma wątpliwości co do orzeczenia przysięgłych? — zapytał Miran, a oczy jego rozpromieniały radością.

-- Nie myślę tego. Pomimo zeznania lekarza, mój biedny brat niezawodnie sam sobie śmierć zadał! Oddawna obawiać się tego można było, jako skutku naturalnego jego sposobu życia samotnego i zgryźliwego usposobienia. Jedna tylko rzecz nastręcza trudną do wytłumaczenia okoliczność.

— A cóż takiego?

— Stan, w jakim znaleziono tego starego wszędobylskiego Marcina, któremu czaszkę załamano, nie pojmuję w jaki sposób. Zresztą, świadectwo jego nie mogłoby wyjaśnić tej tajemnicy, bo lekarze uznali jednogłośnie, że gdyby się nawet wylizał, o co trudno w tak podeszłym wieku, nie odzyskałby rozumu przez całe życie!

Przelotny uśmiech zaigrał na ustach Indyanina, gdy usłyszał to zapewnienie, które uwalniało go od jedynego powodu obawy, by się nie wyjawiły bliższe szczegóły tej zbrodni, które jemu samemu również nie były wiadome dokładnie.

— Jeszcze jedna okoliczność zachodzi niepojęta, — odezwał się pułkownik. — Pomimo najstaranniejszych poszukiwań nie znaleziono dotychczas ani testamentu, ani dokumentów prawnej posiadłości, ani dziedzicznych klejnotów; te ostatnie, będące niezmiernej wartości, znajdowały się jeszcze niedawno w posiadaniu mojego brata.

Miran tłumaczył sobie łatwo zniknięcie testamentu, ale nie mógł pojąć zniknięcia kosztowności i pargaminów dotyczących prawności posiadania Carrowa. W tem przypomniał sobie, co ayah podsłuchała jednego wieczora pode drzwiami biblioteki, kiedy sir William wspomniał Marcinowi o zamiarze ukrycia testamentu i klejnotów spadkowych.

— Ten stary knowacz! — zawołał gwałtownie pułkownik, — a teraz kiedy obłąkany, wszelka nadzieja odszukania tych rzeczy przepadła na zawsze.

Może nie! inni mogą również znać tajniki Opactwa Carrow! — mówił Indyanin przypomniawszy sobie Willia Sidelera.

— Zniknięcie tych kosztowności, — ciągnął dalej pułkownik, — może dać powód do podejrzeń niesłusznych i niezmiernie ubliżających. Ten drugi intrygant, doktor Orine, który jest rektorem Carrowa publicznie oświadczył, że nie wierzy w samobójstwo!

— Jakże więc inaczej nazywa śmierć baroneta? — zapytał Miran obojętnie.

— Twierdzi, że to skrytobójstwo! — odpowiedział jego przyjaciel a głos jego zamierał prawie wymawiając ten okropny wyraz. — Co najgorsza to to, że jako sędziego pokoju, nie możemy go wykluczyć od śledztwa. Z przezorności pozwoliłem mojej siostrzenicy, by przyjęła gościnę na plebanii; bo istotnie nie widzę sposobu, jakbym się mógł temu sprzeciwić, ale skoro okoliczności pozwolą, zabiorę ją jutro do Londynu.

Miran-Hafaz tak był uradowany słysząc, że Ellena wkrótce będzie pod strażą swojego nowego opiekuna w Londynie, iż nie uważał na inne wiadomości mniej pomyślne, które pułkokownik wymieniał. Nie przyszło mu też wcale na myśl, aby pierwsza przeszkoda wyniknąć miała ze stanowczego postępowania młodej panienki.

Nie wiedział o tem, jak silne jest serce kobiety, gdy się opiera na przywiązaniu i obowiązkach.

Tego samego wieczora sir Jasper Pepper i jenerał Bouchier powrócili do Bungalore-Hall w towarzystwie mistress Elton.

Nazajutrz bardzo rano lady Harebelle wyjechała do Londynu.

— Jakież to smutne miejsce! — rzekła pułkownikowi Mowbray podającemu jej ramię, by ją do powozu odprowadzić. — Sądzę, że i pan niebawem opuścisz tę willę wraz z swoim przyjacielem Miran-Hafazem?

Pułkownik odpowiedział, że to zależeć będzie od obowiązków, jakie na niego spaść mogą wskutek smutnego zdarzenia w Carrow-Abbey.

Lady Harebelle uśmiechnęła się złośliwie.

— Jak naprzykład godność opiekuna miss de Vere i administratora majątku pozostałego po sir Williamie?

Pułkownik skinął głową na znak potwierdzenia; był zbyt rozdrażniony, aby co odpowiedzieć. Uważał zawsze lady Harebelle za kobietę natrętną i lubiącą podstępne knowanie, i nieprzyjemnie dlań było, że go badała.

— Może pana oswobodzę od tych trosk, — rzekła dama zniżając głos, — gdy mu oświadczę, że mocą swojego testamentu, nieboszczyk baronet zdał opiekę nad swoją siostrzenicą kanclerzowi i doktorowi Orine, a swój majątek pod zarząd komisarzy rządowych.

— To niepodobna! — zawołał zadziwiony, — wszak testamentu nie znaleziono!

— Zapytaj się pan notaryusza Elworthy, czy nie tak brzmią główne rozporządzenia, a gdy się o tem przekonasz, odwiedź mnie w Londynie, a powiem panu w czyje ręce dostał się testament i za jaką cenę wydobyć go można!

Tak więc testament skradziony przez Willa Sidelera z polecenia Miran-Hafaza, znajdował się się w ręku lady Harebelle! Ta przebiegła kobieta, która zrazu użyć go chciała dla skłonienia Indyanina, by się z jej córką ożenił, ujrzała swoje plany zniweczone porwaniem swojej córki Izabeli i tajemniczem jej małżeństwem z kapitanem Herbertem; postanowiła jednak nie oddawać skradzionego testamentu, chyba pod korzystnemi dla siebie warunkami.

Nim jeszcze pułkownik ochłonął ze zdumienia, w jakie go słowa lady Harebelle wprawiły, kareta wyruszyła, a on sam został pod wystawą pałacową.

— Coś ta sprawa bardzo się wikła! — mruknął wracając do swojego mieszkania. — Nie może wyniknąć nic dobrego z knowań tej intrygantki!

Nim wyjechał do Opactwa, aby obecnym być przy śledztwie, miał jeszcze długą tajemną rozmowę z Indyaninem, który za rzecz potrzebną uważał przeszkodzić jakimkolwiek sposobem powrotowi swojego rywala. Miran objawił mu chęć wyjechania niezwłocznie do Londynu.

— Nie poczekasz więc, póki...

— Nie! Londyn jest targowiskiem na ludzi! Tam kupić można cnoty i występki. Tutaj znajduję tylko narzędzia głupie i nieokrzesane; tam zaś mam do rozporządzenia przemysł, który wymyśli i rękę do wykonania pomysłu!

— Potrzeba ci człowieka chłodnego i zręcznego, któryby miał wiele odwagi a mało sumienia!

Miran potakiwał milczeniem.

— Do czegoż chcesz go użyć? Ale niepotrzebne pytanie. To do Włoch?...

Miran znów kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Pułkownik nie żądał dowiedzieć się więcej. Jego moralne wyobrażenie podobne było do przekonania strusią, który ukrywszy głowę pod skrzydła, lub w piasek, mniema, że całe jego ciało ukryte jest przed wzrokiem myśliwca. Tak też i wspólnik Miran-Hafaza uważał swe postępowanie za nienaganne dla tego, że niewiadome mu były szczegóły zbrodni.

Siadając przy stoliku, napisał list polecający do esquire Roberta Martingale, i podał pismo otwarte Miranowi, który je uważnie przeczytał.

— Co to za człowiek? — zapytał następnie Indyanin.

Taki, jakiego szukasz; ubogi, ale dumny, odważny, zręczny i bez skrupułów. Zapłać mu hojnie, a możesz kupić jego duszę, przypuszczając, że jeszcze jest do nabycia.

W ten sposób się rozstali, by się znowu zejść w Londynie; nie omieszkali jednak wprzód postanowić, aby ayah, która w tak niepojęty sposób zniknęła, stawiła się dobrowolnie przy śledztwie, aby złożyć swoje zeznania, ponieważ szło to o rzecz niezmiernej wagi, by wyrok przy-

sięgłych brzmiał: samobójstwo, a nie: skrytobójstwo!

— Czy możesz liczyć z pewnością na jej stałość? — zapytał pułkownik.

— Jak na siebie samego... — odpowiedział z uśmiechem Indyanin. — Zara choćby zgon widziała przed sobą, potrafi zachować się tak spokojnie, że tętno jej nie będzie bardziej przyspieszone, jak u śpiącego dziecięcia...

— A więc niechaj się stawi.

XLIV.

Udając się do Carrow-Abbey, pułkownik Mowbray postanowił wstąpić na plebanię, by się dowiedzieć co się z Elleną dzieje. Znaczyło to działać roztropnie, utrzymując wrażenie przyjazne, jakie mniemał, że sprawił na umyśle młodej sieroty. Pułkownik i rektor połączyli się następnie z urzędnikami przybyłymi do zamku.

Śledztwo rozpoczęto w wielkiej sali, gdzie już zgromadzili się dzierżawcy nieboszczyka baroneta, a pomiędzy nimi Maciej Ashton i Joe Beans. Ten ostatni wszedł był właśnie tego poranku w służbę do rektora, porozumiawszy się poprzednio ze swoim dawnym panem. Wywyższenie urządzone na jednym końcu sali, zajęte było przez urzędników i szlachtę okoliczną. Wszyscy ubolewali nad smutnym zgonem ofiary, wspominając zalety i wspaniałość nieboszczyka. Ubodzy cisnęli się także do bram zamku, lub gromadnie rozmawiali na dziedzińcu, murawą usłanym. Jeżeli łzy mogą być pomnikiem nagrobkowym, to sir William Mowbray zasłużył na taki wymowny nagrobek.

Najpierwszym świadkiem był Elworthy, który opowiedział o swej bytności w Carrow, o przygotowaniu podwójnego testamentu, w jaki sposób wykradziono mu ten, który miał zachować u siebie w aktach prawniczych, i o tajemniczem zniknięciu drugiego testamentu.

Na wezwanie pułkownika Butler, który spisywał procedurę sądową, koroner spytał się notaryusza, czy podróżował kiedy do Indyi?

— Nigdy? — odpowiedział zapytany.

Przeczytano następnie zeznanie sieroty, które dwóch urzędników i koroner na plebanii spisali; przez wzgląd na boleść Elleny, oszczędzono jej trudu stawiania się osobiście podczas śledztwa. W tem zeznaniu wyrażone były wspomnienia o tajemniczem widziadle w galeryi portretów, o oporze mamki, kiedy zejść chciała za pierwszym usłyszanym krzykiem, o cieniu postrzeżonym w bibliotece, nareszcie o drzwiach zamkniętych z trzaskiem i zaryglowanych.

Zaledwie imię piastunki wyrzeczono, powstał zgiełk wśród tłumu, zalegającego niższy koniec sali. Niewiasta zasłoną okryta, zbliżyła się do stołu, gdzie przewodniczył koroner, potem odrzucając w tył muszlinowy rąbek, odkryła śniade oblicze znajomej wszystkim Zary.

— Znajduję się w kraju, którego prawa są mi obce, — rzekła, — ale staję przed wami, bom nie zgwałciła tych praw w niczem! Badajcie mnie, odpowiem co mi wiadomo. Jeżeli nie mogłabym zaufać waszej sprawiedliwości, mogę przynajmniej pokładać zaufanie w mojej niewinności!

Śmiałe i proste wysłowienie się cudzoziemki sprawiło korzystne wrażenie na wszystkich obecnych; rektor nawet zaczynał wierzyć, iż był zbyt surowy w swej opinii o mamce.

Bez najlżejszego wahania, ayah odpowiadała na wszystkie pytania, które jej zadawano. Na ostatnie: Dla czego opierała się, kiedy miss Vere chciała zejść do swego wuja? odpowiedziała zręcznie i zarazem szczerze:

— Dla uchronienia dziecka, które wykarmiłam na mem łonie, dla zachowania jej od przygody, gdyby istotnie było jakie niebezpieczeństwo, albo zapobieżenia skutkom chorobliwego urojenia, które ją już raz o słabość przyprawiło!

Pan Elworthy podał koronerowi kartkę papieru, na którym doktor Orine napisał był coś naprędce.

— Jakżeś potrafiła ujść z zamku, niepostrzeżona przez nikogo? — zapytał ją znowu urzędnik.

Szczegóły tej ucieczki i sposoby, jakich do tego użyła, były tak prawdopodobne, że zaledwo pozostawiały jakie lekkie wątpliwości.

— Nie wielu miałam przyjaciół, — dodała. — Nie lubią cudzoziemców w Anglii, a groźby starego kapłana nastraszyły mnie. Zaczerpnęłam jednak odwagi w poczuciu mej niewinności, i dla tego stawiłam się przed wami, by was o niej przekonać. Jeżeli jestem występną, ukarzcie mnie! jeżeli zaś nie zawiniłam w ni-

czem, uznajcie mnie niewinną, zapominając o tem, żem biedna obca, bez obrony w waszym kraju!

Po tych słowach, których prostota ujęła wszystkich słuchaczy, ayah rzuciła się na posadzkę i usiadła sposobem wschodnim. Jej rysy przed chwilą ożywione wzruszeniem, przybrały ten wyraz chłodnej obojętności, która uniemożebnia wszelkie postrzeżenia badacza najprzenikliwszego. Po naradzie odbytej półgłosem między koronerem i towarzyszącymi mu urzędnikami, zgodzono się na to, że nie ma powodu aresztowania piastunki, ani powątpiewania o szczerości jej zeznań.

Wychodząc z sali, rzuciła wzrok nieubłaganej nienawiści na doktora Orine, który sam jeden wotował przeciwko niej.

— Strzeż się, aby ta niewiasta nie przekroczyła nigdy progu drzwi twoich! — rzekł pułkownik Butler do swego przyjaciela. — Znam kastę, do której należy ta Indyanka; ci ludzie tyle cenią życie człowieka, co kwiatek lub trawkę, rosnącą u nóg swoich...

Rektor otarł pot występujący mu na czoło; może to wskutek upału, powstałego w komnacie, ludźmi przepełnionej, ale postanowił sobie w duchu takie przedsięwziąć środki ostrożności i takie wydać polecenia służbie swojej, żeby nigdy wspomniane przed chwilą niebezpieczeństwo miejsca mieć nie mogło.

Nie będziemy dłużej zatrzymywali się nad tą przykrą sceną. Po troskliwem zbadaniu zeznań domowników i świadectw lekarzy, którzy zgodnie orzekli, iż nieboszczyk baronet nie był w możności zadania sobie wspomnionej rany, sąd przysięgłych wyrzekł, jako zabójstwo popełnione zostało przez jedną lub dwie osoby niewiadome; wyrok ten zadowolnił wszystkich obecnych, z wyjątkiem dwóch, którzy nie brali żadnego udziału w całej tej procedurze.

Pierwszy z niezadowolonych wyrokiem sądowym był pułkownik Mowbray, drugim Will Sideler, który przez cały przeciąg odbywania śledztwa wmięszał się w tłum dzierżawców i wieśniaków u drzwi wchodowych zgromadzonych. Jak tylko usłyszał wyrok przysięgłych, pozapinał starannie swą kurtkę myśliwską i opuścił salę.

Zdaje się, że nikt więcej oprócz pułkownika nie postrzegł jego oddalenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KASINKA.

Gawęda wieczorna doktora Karola.

Po kilku latach niewidzenia spotkałem się z doktorem Karolem, przyjacielem z czasów gimnazyalnych i uniwersyteckich. Zaprosiłem go do siebie, a gdy jeszcze zjawił się nasz kolega Antoni, zaczęła się swobodna gawędka przy winie i fajce. Ja i Antoni mówiliśmy najwięcej, dopiero w końcu i Karol trochę się poruszył, a wtedy opowiedział nam następne zdarzenie z czasów młodości, które tu przytaczamy:

„Jest temu lat dziesięć; właśnie z Wrocławia na ferye wróciłem w Poznańskie. Usposobienie, humor miałem najróżowszy w świecie, wszystko się człowiekowi uśmiechało, dla tego, że wesołość była wewnątrz serca. Czułem się zupełnie swobodny i miałem ochotę cieszyć się obecną chwilą. Przyszłość zdawała mi się bezpieczną i pewną — nie widziałem powodu zby-

tecznie się o nią troszczyć. Krótka przeszłość, jaką miałem za sobą, nie przedstawiała natenczas zadowolnionemu oku memu nie tylko żadnych czarnych punktów, ale nawet błyszczała kilku świetnemi połyskami.

Przy tem wszystkiem nie byłem już wtedy nawet całkiem wolny od drobnych cieni jakiejś smętności, która z czasem wzmogła się niestety, ale wtedy służyła tylko do dopełniania obrazu i uwydatnienia uśmiechających się promieni słonecznych.

Zamyśliłem pierwsze wielkie ferye akademickie spędzić gdzie w zaciszu, wśród ludzi bez pretensyi i ambicyi, żyjących z pracy powszedniej.

Na zaprosinach mi nie zbywało, akademika wszędzie chętnie widzą; wybrałem się do pana Jana Szopiewicza, rządzcy folwarku w dobrach hrabiego**, którego matka była cioteczną siostrą drugiego męża mojej babki. Kuzynostwo nie tak zbyt blizkie wzmocniło się przyjaźnią, jaka pana Szopiewicza łączyła z moim wujem. Obiecano mi dać osobny, czysto wybielony pokoik, a świeże masło, twardy polski ser w długich gomułkach, maślanka już mi ślinę przywabiały do ust samą nadzieją ich spożywania.

Folwark, który miał być rezydencyą letnią, nie był zbyt odległy od Poznania. A pytanie, jak się doń dostać, rozstrzygło się wynalezieniem w jednym z domów zajezdnych ś. Marcińskiej ulicy w Poznaniu furmanki, która za 5 trojaczków obiecała zawieść mię w blizkie owego folwarku sąsiedztwo, zkąd piechotą można się było dostać na miejsce przeznaczenia. Los kuferka miał w czasie końcowej podróży piechotnej być poruczony chłopu, którego ramiona łacniej niż moje własne, mogłyby się podjąć dźwigania mego 127 funtowego bogactwa. Główną część ciężaru stanowiły książki.

Bez przygód dostałem się, zupełnie wedle planu pierwotnego, na miejsce o godzinie 9-tej wieczorem, kiedy się zaledwie zmierzchać zaczynało.

Państwo Szopiewiczostwo zamieszkiwali duży murowany dom, który był niegdyś siedzibą dziedzica w czasie dość długo trwającej budowy pałacu w głównej majętności. Nie zajmowali też całego domu, którego połowa była próżna, jak się zdaje dla braku mebli; ograniczając się na kilku pokojach z lewej strony i kuchni z boku położonej. Po prawej stronie pierwszy pokoik — odświeżony — miał być moją sypialnią i mieszkaniem zarazem; spodziewając się mnie, umeblowano go na prędce sprzętami, które uznano za chwilowo niepotrzebne po lewej stronie. Pokoik mój, do którego mię zaraz, spotkawszy w podwórzu, gospodarz wprowadził, spodobał mi się: był dość obszerny, czysty i świeżego powietrza nie brakło mu wcale. Uporządkowawszy nieco ubranie, oczyściwszy chustką buty z kurzu, poprawiwszy włosy, przeszedłem z gospodarzem na drugą stronę, gdzie pani Szopiewiczowa uwiadomiona o moim przybyciu, już była zastawiła stół do kolacyi, który czekał tylko na moje ukazanie się, aby zakwitnąć przyniesioną z kuchni apetyczną jajecznicą.

Pan Szopiewicz był to sobie mężczyzna lat około czterdzieści mający, silny, rosły, opalony, brodaty blondyn. Gospodarz praktyczny całą gębą; rolnictwa uczył się nie na akademii, ale w służbie, zacząwszy od pisarka, wszelako czytywał pilnie i naukowych wiadomości mu nie brakło. Jakem później poznał, częściej on zaglądał do książek rolniczych, jak się sam wydawał przed kolegami. Uchodził za doskonałego znawcę koni; nie było wady, którejby nie wyśledził w szkapinie. A skoro go się pytano, gdzie on się tego nauczył, odpowiadał, że w wojsku, że dużo po jarmarkach jeździł, że na poprzednim miejscu jego mieli kowala, co się doskonale znał na koniach i że jemu wiadomości swe w części zawdzięcza. Koledzy zaś przyznawali, że to mogą być doskonałe sposobności poznania koni, ale nie wystarczają; trzeba już na to mieć taki węch od urodzenia, „przecież się też na jarmarkach nie jednę butelczynę wypiło i we wojsku nie jednę szkapę nachędożyło, a jednak człowieka nieraz okpią; — to już taki koński talent ten Szopiewicz!"

A tajemnica leżała gdzieindziej, wywietrzyłem ją na szafie w sypialnym pokoju p. Szopiewicza, gdzie leżało porozrzucanych z trzydzieści książek rolniczych, po większej części niemieckich. Był tam jakiś, jeżeli się nie mylę, Burmajster, księga na kilkuset stronnicach i 208 rycinach, traktująca o koniach. Była ona pokreślona, potłuszczona, notatek ołówkiem dopisanych na boku było bez liczby, a gdzie niegdzie dosadna krytyka: „głupstwa plecie"; ale wszystko to świadczyło, że Szopiewicz księgę tę nie tylko przeczytał, ale połknął, strawił, zjadł i zupełnie w siebie wcielił.

— A czemu się pan tak ukrywa, że znajomość koni czerpiesz z książki, pytałem.

— Niechaj mnie pan, panie Karolu, nie wyda, że tego Burmajstra trapię, adyby mi nic nie uwierzyli koledzy, i sławę koniarza bym utracił na zawsze. Mówiliby, żem z książek mądry. Z takiemi rzeczami wydawać się nie można.

Przekonałem się następnie, że Szopiewicz był nietylko specyalistą końskim, ale wszystkie gałęzie gospodarstwa na podobny sposób gruntownie zbadał, porównując rady książek z doświadczeniem własnem, niczemu ślepo z góry nie wierząc, ale niczego z góry nie odrzucając.

Pani Szopiewiczowa była dziewiątą córką zmarłego już urzędnika gospodarskiego, który po dwudziestu latach służby poszedł na dzierżawę, gdzie mu się kilka lat doskonale wiodło, aż go spotkało nieszczęście, że cała owczarnia mu padła, a wkrótce potem się spalił nizko zabezpieczony; zniszczał od razu zupełnie i z zmartwienia wkrótce umarł. Żonę już dawniej przez cholerę utracił. Dziewięć jego córek dało sobie radę w świecie. Bez wielkich wiadomości szkólnych, umiejąc tylko czytać, pisać i rachować, ale wyuczone gruntownie gospodarstwa kobiecego przez matkę, powychodziły wszystkie jeszcze za życia ojca, za samych urzędników gospodarskich z różnych stron świata. Dwie dostały się na Ukrainę, jedna pod Kraków, cztery były w Królestwie, jedna nad Notecią, a ostatnia najmłodsza wyszła za Szopiewicza. Sądząc po pani Szopiewiczowej, mogły wszystkie siostry być swego czasu ładnemi pannami, co po części wyjaśniało, dla czego tak łatwo poszły za mąż, chociaż tyle ich było i bez posagu.

Pani Szopiewiczowa tłumaczyła ten szczęśliwy wypadek inaczej. Mówiła, że dawniej były inne czasy, ludzie się kochali i z miłości żenili, a teraz szukają kawalerowie tylko posagu, a panny ludzi mających dobre utrzymanie i jakieś tam wyższe stanowisko w świecie. A tacy, co mają dobre utrzymanie, nie mogą już być młodzi, bo żeby dojść do dobrego chleba, trzeba dużo czasu i kłopotu, więc w takich serce się zestarzało, stwardło, są wybierni i też wielkiego szczęścia nie dają. A gdy się dwoje młodych ludzi pobierze, miłość znoje osładza, pracują wspólnie z natężeniem nad dorobieniem się chleba, łatwiej im idzie i są szczęśliwsi. Może miała racyą!

Zapewne sądzicie, że państwo Szopiewicze mieli córkę, w której się pokochałem i że to będzie treścią powieści.

Nie, mieli tylko syna, który chodził do gimnazyum, do tercyi. Była to nieco tępa głowa, i miałem mu na feryach trochę pomódz; był to konieczny obowiązek dla mnie, żeby się czemkolwiek odwdzięczyć gospodarstwu za gościnne przyjęcie.

Te trzy osoby znalazły się w izbie, gdzie mnie witano jajecznicą.

Przybycie moje zadowolniło gospodynią, boć akademik dodawał honoru domowi. Pytała mnie się o zdrowie rodziców, od których przywiozłem ukłony, jak mi się podoba w Wrocławiu, ilu Niemkom głowy pozawracałem. Ostatnie pytanie zarumieniło mnie, chociaż sumiennie odpowiedzieć mogłem, że żadnej.

Po kolacyi gospodarz poczęstował mnie fajeczką, włożywszy w cybuch świeże piórko; — przyczem powiedziawszy dobranoc gospodyni, z gospodarzem wróciłem do mego pokoju. Roztworzyłem kuferek, wypakowałem nieco rzeczy i nie zwlekałem z położeniem się do łóżka, a po odejściu Szopiewicza, zasnąłem kontent z siebie jak nigdy.

Nazajutrz zbudził mnie z głębokiego snu, podsyconego maleńkiem po podróży znużeniem, krzyk, który się rozległ w pokoju. Przetarłem oczy, widziałem, jak się coś migło we drzwiach, na stole kolebał się jeszcze imbryczek z kawą na tacce wniesiony, a śmietanka kapała ze stołu na podłogę, gdzie już się rozpostarł kawałek białego kożuszka, jakby chciał chronić spadające krople od zbytniego stłuczenia.

Wstałem zaraz, aby uraczyć się kawą wiejską i ocalić śmietankę; szczęściem strata nie była tak wielka, a kawa i od reszty śmietany zabieliła się jak śnieg. Ubierałem się, myjąc i popijając kawę razem, a dla dopełnienia rozkoszy szukałem cygara, kupionego jeszcze we Wrocławiu, gdy wszedł do pokoju dawny mój kolega z gimnazyum, którego nie myślałem wcale tu spotkać.

— Jak się masz, Szwajdało? zapytałem.

— Cóż tu robisz, doktorze, tak mię zatytułował z powodu przyszłej godności.

— Ano, przyjechałem zakosztować wiejskich słodyczy. A cóż ty tu na wsi, gospodarzysz, co?

— Będę gospodarzem, bo widzisz, do Horacego nie miałem głowy, matematyka jeszcze paskudniejsza... A widziałeś Kasię, co?

— Jaką Kasię, Szwajdało?

— Nu, nie udawaj świętego, toć ci przyniosła śniadanie i takiegoś jej strachu narobił tą trupią główką, co leży na stole...

Wyjaśnił się krzyk dziewczyny, która mi przyniosła kawę. Rozpakowując wczoraj rzeczy z kuferka, wyjąłem czaszkę, nieodstępną towarzyszkę ucznia medycyny i położyłem na stół, czaszka przestraszyła służącą, która przyniosła mi kawę tak, że rzuciła tacę na stół i śmietankę rozlała.

— A, rozumiem teraz, powiedziałem, dla czegom się zbudził. Ale cóż to za Kasia?

— Powiadam ci, jaka dziewka, drugiej takiej nie ma na świecie; dalibóg, Zosia ...ska, za którą latało całe gimnazyum, ani się umywa do niej; trochę podobna do Puci, a ma włosy jak Terezia, w której się Wicek kochał.

— Widzę, Szwajdało, żeś na dobre rozkochany i to w zwykłej dziewce wiejskiej, — a cóż, masz łaski u niej?

— Niby nie, droży się bestyjka i udaje, że mnie nie lubi, ale znam się na tem. Muszę iść, przyjdź pod borek, tam pilnuję ludzi, a daj mi cygaro... doskonale pachnie, po czemu? pewnie po bejmie!

— Takich drogich cygar nie palę; a kiedy się z tobą zobaczę...

— Przy obiedzie, bywaj zdrów, jeno mi nie bałamucić Kasi... chociaż się nie obawiam. No, bywaj zdrów...

I poszedł. „Szwajdała" było przezwiskiem mego gimnazyalnego kolegi, nie wiem już którym z rzędu. Co rok chrzcono go nowym imieniem; zwali go Lulą, Ciurkiem, Morątem, Oleastrem, a w końcu Szwajdałą — podobno po wyjściu z gimnazyum jeszcze kilka przezwisk odebrał. Chłopi zwali go Cholewą, bo miał tytuł elewa gospodarskiego, a Kasia inaczej na niego nie mówiła, jak Guła. Przezwiska te liczne dowodzą, jaką o nim miewało opinię otoczenie, wszystkie zdradzają mazgaja.

Nie był to jednak chłopak głupi z urodzenia, chociaż rysy jego twarzy były pocieszne. Wielkie oko, które mogło było być piękne, było zamdlone, zaropiałe i bez wszelkiego wyrazu; nos długi, a koniec jego spadał tak na usta, iż się zdawało, że jeżeli właściciel nosa prawą ręką cośkolwiek w usta kładzie, pierwej chyba lewą nos na bok odciągnąć mu trzeba. Włosy długie, gliniano żółte, spadały mu na ramiona, a były rzadkie jak żyto na latającym piasku; zarost mu się żaden nie rzucał, chociaż miał już lat dwadzieścia i kilka, za wąs służyła mu brodawka z czterema czy pięciu sterczącemi jak szczeć włoskami. Głos miał piszczący; chodził jakby pantofle szargał za sobą. Przytem brudas z niego był haniebny; rzadko się mył; rzeczy zawsze powalane, opierzone, buty pobłocone, a na perfumy majątku stracić nie obiecywał.

Odpowiedzi wszakże jego zdradzały ducha niekiedy, który się wprawdzie podmarnował, ale był w tym ciele jeszcze ukryty. Czasem dowcip jego był złośliwy; czasem zabłysnął zręczną grą wyrazów, która musiała być jego wymysłem, bo książek nie czytywał. Wychowanie ścisłe i surowe, dobra gimnastyka duszy i ciała nie byłaby mu pozwoliła podupaść moralnie.

Jak się dostał na folwark, wyjaśnił mi pan Szopiewicz, który wkrótce nadszedł do mego pokoju powiedzieć dzień dobry, i zaprosić na drugie śniadanie.

Pan hrabia był Szwajdały opiekunem, a gdy w szkołach nie szło, przysłał go na folwark, żeby się uczył gospodarstwa. Panu Szopiewiczowi tylko zawadzał, bo u ludzi nie miał żadnej powagi, nigdzie na czas nie zaszedł, wcześnie wstawać było dla niego niepodobieństwem, słowem niczego porządnie i ściśle nie dokonał. Posłano go na śpichrz, zostawił klucze we drzwiach; miał zapisać robotę ludzi, pomylił się regularnie — dość, że nie było z nim co począć.

Pani Szopiewiczowa jeszcze mniej była z niego zadowolona. Ciągle z dziewkami miewał jakieś rozhowory, lubo te z niego szydziły najstraszliwiej; właził do kuchni, chociaż go tam kopyścią wypędzały kobiety.

Ale trudna rada, trzeba go było znosić, bo taka była wola pana hrabiego.

— Słuchajno doktorze, mówił dalej Szopiewicz, bierz tam kat Szwajdałę, jak go tam nazywacie, aleście mi cały dom w rejwach wprawili trupią główką. Nasza pokojówka, Kasieczka, ledwie nie umarła ze strachu. Przybiegła do kuchni wydyszana, blada. Żona moja wystraszyła się, myśląc, że zachorowała dziewucha. Ledwo z niej wydobyła, co się stało. Boi się tu wejść do pokoju, będziecie sobie sami musieli budę poprzątać.

— Mówił mi już o tem Szwajdała. Ja spałem jeszcze, krzyk mnie zbudził i tylko coś we drzwiach mignęło. Trzeba będzie schować cza-

szkę do kuferka, kiedy się nieledwie stała powodem ludzkiej choroby.

— Mielibyście doktorze na sumieniu ładną dziewczynę, gdyby zachorowawszy, ze strachu umarła.

— A chwalił mi się Szwajdała, że się w nim kocha.

— Jak kotka w kądlu... Ale chodźmy, bo kotlet w rądlu.

Drugie śniadanie z kotletami było ogromnym zbytkiem w domu pani Szopiewiczowej. Było to też wyjątkowo na pierwszv dzień mego pobytu. Szwajdały nie było przy śniadaniu, do którego posługiwała Kasieczka, jak ją nazywał pan Szopiewicz.

Kasieczka była rzeczywiście pięknością pierwszego rzędu; tak piękną, jak nigdy ani przedtem, ani potem żadna kobieta mi się nie wydała. Niczego nie widziałem przy śniadaniu, tylko Kasieczkę; biały talerz z przed nosa rozszerzał mi się coraz więcej i więcej i nareszcie zamienił się w jakieś długie białe płótno, na którym migotała tylko twarz Kasinki, — kotlet mi nie smakował, ledwom go mógł połknąć, — nic nie słyszałem, co mówiła pani Szopiewiczowa, potakiwałem tylko, nie rozumiejąc niczego, — czułem gorąco w licach, krew uderzała do głowy, — nie mogłem przyjść do siebie z wrażenia. Ochłodłem powoli, skorom Kasieczki nie czuł już w pokoju.

Przyszedłszy do siebie, zacząłem spoglądać na gospodarstwo, czy się nie domyślili z twarzy mojej tego, co się działo we mnie, ale nie wiedzieli nic. Rozmowę podtrzymywała pani Szopiewiczowa, o każdej kolejno z ośmiu sióstr swoich, jak której się wiedzie i z jakiej familii mężów mają.

Po śniadaniu pan Szopiewicz wybrał się do gospodarstwa a ja wyszedłem, aby sobie obejrzeć ogród, a następnie wrócić do pokoju i zabrać się do nauki nad czaszką, która jest prawdziwym orzechem do zgryzienia dla każdego początkującego Eskulapa.

Dom, jakem powiedział, był murowany, bardzo obszerny, jedna tylko połowa była zamieszkana przez Szopiewiczów, do której przytykała kuchnia; za kuchnią obszedłszy, weszło się do ogrodu, który był za domem; dom od ogrodu zarosły był krzewami, a z prawego boku jego, niezamieszkałego, było niewielkie podwórko, od ogrodu oddzielone płotem, a zresztą ogrodzone murem, jak cały ogród. Była to północna strona domu. Podwórko pełne było flaszek, kamieni, rupieci jakichś, klepek, rozdartych obręczy, rozwalonych beczek i prowadziły z niego drzwi do piwnicy, w której, jakem się potem dowiedział, niegdyś był skład wina dawnych dziedziców. Dziś piwnica ta była zupełnie pusta, a drzwi do niej na rozcież otwarte. Sklep do warzywa był z drugiej strony domu i wejście do niego prowadziło z kuchni. Zresztą do piwnicy, która była służyła za skład wina, żadnego innego wejścia, jak przez ono podwórze nie było, nawet okna sklepu były tylko ku podwórkowi, tj. ku północy zwrócone, zapewne, żeby słońce w żaden sposób nawet przez szczelinę się nie dostało. Zresztą na podwórko żadne okno z domu, ani z parteru, ani z pierwszego piętra nie wychodziło. Był to zupełnie martwy kącik, który opisuję tak szczegółowo, bo tam zaszło zdarzenie, mające być głównem przedmiotem mego opowiadania. Podwórko z ogrodem komunikowało przez drzwi w płocie, który był bardzo wysoki, i z obu stron zaciemniony krzewami różnego gatunku.

Ogród sam był niegdyś duży, i część zdawała się, że kiedyś była czemś podobnym do parku; państwo Szopiewicz nie wdawali się w żadne zbytki, i co się tylko dało, zasadzili warzywem. Mimo to nie brakło cienia w ogrodzie, a parę ławek zapraszało do odpoczynku.

Zbadawszy najbliższe otoczenie mego teraźniejszego mieszkania, zaszedłem do pokoju swego, gdzie zastałem Kasieczkę, kończącą uprzątanie, ale przy drzwiach — szeroko otwartych, stół z trupią czaszką był nietknięty, i naczynia od kawy stały jeszcze na nim.

— A dobrze, że pan idzie, rzekła Kasieczka, gdym wchodził — bo tego trupa tak się boję, żebym tacki z imbrykiem nie ruszyła. A jak też pan doktor może się wozić z takim trupem, a toć może pokutować, umyślniem drzwi zostawiła otwarte, żeby krzyk mój słyszeli, jakby mi ta głowa chciała co zrobić.

Mówiła tak do mnie dziewczyna średniego wzrostu, lat najwięcej szesnastu, w króciutką spodniczkę ledwo za kolana sięgającą ubrana, z cudną kibicią ujętą w czarny przylegający kabacik; cała postać ujmująca, ale twarz więcej niż piękna, anielska. Duże czarne oko, jakie znajdujemy w wizerunkach Bogarodzicy starowłoskiej szkoły, spoglądało na mnie, samo pełne

zagadek, jak czarne głębie górskiego karpackiego jeziora, śniada nieco cera twarzy, pełna zdrowia i życia, tryskała blaskiem wśród warkoczy, wijących się w górę, jak węże lśniące ciemnym a połyskującym bronzem; zdawało się, że na tej małej główce ledwie się utrzymać może spleciona fantastycznie budowa włosista. Mogłeś ją wziąść za bóztwo jakie, za boginią niewinności i swobody dziewiczej, gdyby nie usteczka, które jedynie przypominały ziemską istotę i drgające lubieżnie, łudziły śmiertelnika obietnicą rajskiej rozkoszy.

Głosik jej był czysty i miły, niekiedy nieco grymaśny; lecz dla tego właśnie tym więcej ku siebie wabiący.

Nigdym, ani przedtem ani potem, takiej piękności nie widział, i gdybym był malarzem, starałbym się był jej wizerunek zachować na płótnie dla potomności, gdyż przekonany jestem, że wieki poczekać będzie trzeba, nim natura ponownie na stworzenie takiej piękności zdobyć się potrafi.

(Dokończenie nastąpi.)

PAMIĘTNIKI
MAKRYNY MIECZYSŁAWSKIEJ,
KSIENI BAZYLIANEK W MIŃSKU.

(Ciąg dalszy.)

Dręczone dokuczliwym głodem, doznawałyśmy raz po raz wyraźnej pomocy Bozkiej przez to, że niektórzy ubodzy ludzie, widocznie z natchnienia Bożego, podrzucali nam resztki swojej strawy. Siostra Koleta dostrzegła była tego w onym dniu i przystąpiła, żeby odebrać jałmużnę. Postrzegła to jedna z czernic i rzuciła się na nię z kijem, który zawsze nosiła przy boku jakoby pałasz, aby nas bić, ile razy nas spotykały. Pochwyciwszy więc naszę siostrę nieszczęśliwą, poczęła ją bić po twarzy, drapać i targać za włosy, a w końcu rzuciła ją tak silnie na kawał drzewa, że jej złamała żebro. Siostra Koleta, dobra i łagodna jak była, nie opierała jej się wcale, nie broniła się, gdyż w ogóle nie broniłyśmy się nigdy, a wskutek tej poniewierki następnej nocy na mojem łonie oddała ducha Bogu.

W kilka miesięcy po naszem przyjściu do Witebska (1839), po różnych zmianach i próbach męczarni, gdy Siemiaszko upominał Michalewicza o to, że dotąd nie przymusił nas do odstępstwa — on ulękniony napisał do Siemiaszki, żeśmy już gotowe do apostazyi, żeśmy pomiękły *jak pączki*, i zaprosił go. Tymczasem coraz bardziej nas umęczając, podzielił nas nakoniec na cztery oddziały, i pozamykał osobno po różnych więzieniach; mnie z ośmiu siostrami w opuszczonym lochu warzywnym, ciemnym, zimnym i wilgotnym, a pełnym robactwa, które nas obsiadło niezmiernie i łazło nam w oczy i w usta.

Jedne o drugich nie wiedząc, odprawiałyśmy wszystkie za wszystkie dziewięciodniowe nabożeństwo na uproszenie wytrwałości. Trzy inne oddziały miewały po pół funta chleba z otrębów

co dzień, a potem co dwa dni tylko; nam zaś nie dawano ni chleba ni wody — żywiłyśmy się niedognilkami dawnego warzywa, którego robactwo nie dojadło. Czas nam schodził bardzo wesoło, bo na ciągłej modlitwie.

Tam w lochu ułożyłyśmy pieśń, która była pociechą naszą:

Boże, z Twego przeznaczenia
Cierpimy pęta niewoli,
Przyjmij nasze umartwienia,
Dopomagaj w tej niedoli.
Wypędzone z Twego domu,
Gdzie miłe były roboty,
Komuż użalim się, komu,
Na zdrajców Twoich niecnoty?
Boże, wszakżeś dobroczynny,
Zamień te smutki w rozkosze,
Oddal schizmę od krainy,
O to jedynie Cię proszę.
Cierpmy, Bozkie niewolnice,
By chęć tylko nie ustała,
Osuszy nasze źrenice,
Zrobi, by Wiara powstała,
Wówczas zrzucim z siebie pęta
I złamiem wszystkie zagrody,
Niech się stanie wola święta,
Pójdziem w niebo po nagrody.

Michalewicz co dzień włóczył się od więzienia do więzienia z papierem, namawiając do podpisania apostazyi, a mówiąc szalony:

— Czemu się upieracie, oto już tamte siostry podpisały i kawę piją! I wy podpiszcie, to kawę pić będziecie. — No, ksieni, nie lepiej tobie być ksienią, jak kajdanami brząkać i tu siedzieć, gdzie cię robaki zjedzą? Patrzcie, oto już tamte podpisały.

I tak zwodził nas wszystkie, a myśmy jedne o drugie drżały. Aż gdy raz papier ten zbliżył do mnie, usłyszałam głos jakiś, jakoby wołający: *porwij ten papier!* Porwałam rozwinęłam, biały był zupełnie; zdeptałam go.

— Ty kłamco, Judaszu, posłańcze Lucypera, wróć się do pana twego.

A on usta mi zarzucił robactwem i gnojem, i odszedł zawstydzony.

Po dziewięciu dniach wyprowadzono nas znowu do ciężkich robót. Gdyśmy się wszystkie przy taczkach ujrzały, ach, co za radość! Siostry wołały:

— Czy ty matko z nami?

— Z Bogiem — odpowiedziałam.

— I my z Bogiem, — zawołały i popadały na kolana, dziękować Bogu za wytrwanie. Zaśpiewałyśmy *Te deum*, a potem do roboty żwawo i radośnie, że Bóg ustrzegł i w tej próbie dusze nasze. — Wypoczęłyśmy, dziateczki, dalejże do pracy!

Wkrótce też nadjechał Siemiaszko. Biją w dzwony godzinę całą. Wysypały się czernice naprzeciw niego, a nas spędzono do więzienia. Niebawem nadszedł do nas w towarzystwie Michalewicza i służby swojej, a powitawszy łagodnym głosem, rzekł do nas:

— Bardzo rad jestem, że was oglądam.

— I my bardzo rade, jeśli przybywasz do nas jako prawdziwy Biskup i Pasterz, lecz jeżeli jako odstępca, odstąp precz od nas.

On oświadczył wtedy, iż stawił się na nasze zawołanie, że nasza prośba z oświadczeniem gotowości przyjęcia prawosławnej wiary rozradowała serce jego, że mnie przywozi pastorał na znak dostojeństwa mego, czyniąc generałką, i gwiazdę na znak łaski cesarskiej. — Myślałyśmy, że oszalał, ale zarazem strach nas przejął, czy nie zdradziła która: — wszystkie poglądały jedne na drugie, a najbardziej na mnie.

— Co mówisz, łotrze, — zawołałam, kto ciebie prosił, żebyś przychodził nas kusić?

— Ty sama, — przerwał Michalewicz.

Siostry zaczęły płakać, a jam rozżalona wyrwała z ręki Siemiaszki owę mniemanę prośbę naszą; rozwinęłam, ujrzałyśmy podpis Michalewicza, ogromnemi pisany literami: „*Ihnat Michalewicz*".

— To ty, łotrze, zwiodłeś twego pana szatana! — i cisnęłam mu ten papier w oczy.

A on śmiał powiedzieć: Wy psia polska krew, nogiście mnie lizały, na kolanach prosiłyście mnie i płacząc błagały o tę łaskę.

— Ach łotrze! i ty się nie boisz Boga tak kłamać? Wszak wiesz, że się od męki nie wypraszamy, a miałybyśmy prosić, żebyś takiego sprowadzał jak sam, który dla ciebie tylko archirej, a dla nas równy tobie odstępca wiary — apostata! A do Siemiaszki: — Powieś krzyż, który mi przynosisz, między krzyże, któremi obwiesiłeś twe piersi, bo dawniej łotrów wieszano na krzyżu, dziś widzę krzyże na łotrze; a nie kuś sług Bożych.

Zdziwił się Siemiaszko, jednak gniewu nie okazał, łagodnemi chciał uwieść słowy.

— Po wyjściu Siemiaszki, płacz radości niewymownej powstał pomiędzy nami, a Bogu dziękowałyśmy za łaskę stałości, — Siostry rzuciły się na mnie z wielkiem rozrzewnieniem.

Tegoż dnia jeszcze Siemiaszko nasłał na nas popa Moskala Andrianowicza, aby wybadał między nami prawdę. — Dowiedział się o stałości naszej, pogroził mękami i szubienicą, za cośmy mu podziękowały. — Odszedł zawstydzony.

Nazajutrz Siemiaszko kazał nas ubiczować na dziedzińcu przed oczyma swemi — i w całej korzyści odniósł krew naszę.

Odjechał zbestwawszy Michalewicza, który za to coraz bardziej pastwił się nad nami, już nie tylko kijem bijąc, ale też kamieniami na nas rzucając.

Czernice także po tych nawiedzinach coraz się bardziej nad nami pastwiły i wydziwiały nam. Każdej czernicy, każdemu diakowi, stróżowi i dzieciom cerkiewnym wolno nas było bić i katować, lżyć i łajać. Wszystko to chodziło dla tego z kijami jak z szablami za pasem.

Wszelką pracę, którą nas obciążano, starano się przeciążać dziwactwem wszelkiem. I tak np. czernice kazały nam nosić wodę z rzeki Połoty w miedzianych dzbanach, ale koniecznie z ręką odstawioną, ażeby, jak mówiły, woda nie nabrała polskiego ducha; gdy postrzegły, że która inaczej dzban niosła, wylewały jej ten dzban wody na głowę i nazad po wodę ją posyłały. W zimie, nim się doszło do wody po takiej kąpieli, suknie nasze zlane tym sposobem obmarzły i stawały się twarde jak drzewo, a zimne jak lód. Po cztery i pięć razy na dzień czyniły z nas sobie igraszkę taką; potem kazały oczyszczać cele z rozlanej wody, a potem kije za opóźnienie innej roboty i tak zawsze.

Po kilku miesiącach (1839) przybył Siemiaszko święcić po swojemu kościół bazyliański, przerobiony na cerkiew, do którejto roboty i nas zmusić chciano, aleśmy wolały kije, aniżeli przyłożyć rękę do takiej zbrodni.

Siemiaszko udał się wnet do nas z namową, zapraszając na to święcenie, na kazanie, na spowiedź i na komunią swoję. — Odpowiedziałyśmy:

— Bóg sam nas uczy, a duszom naszym bez twej spowiedzi miłościw będzie; a ty, odstępco, coś przestał być naszym pasterzem, nie dbaj o głód dusz naszych, ale dbaj lepiej o ciało nasze; daj nam jeść, bo umrzemy od głodu.

Siemiaszko poszedłszy do cerkwi, kazał nas za sobą pędzić. — Wtedy tłum diaków i parobków cerkiewnych z kijami i drągami rzucił się na nas. W tem pędzeniu wszystkie niemal siostry były aż do krwi zbite i wielkiemi ranami okryte; mnie także rozcięto tył głowy.

Gdyśmy dochodziły do cerkwi, byłam już cała we krwi, a odwróciwszy się, zawołałam: Siostry! w imię Chrystusowe, nieśmy nasze głowy pod miecz! A do siostry Wawrzeckiej: Weź ten kloc i ciśnij pod nogi Siemiaszki.

Wszystko to stało się w mgnieniu oka. — Siemiaszko stał u progu cerkwi — ja zaś skoczyłam do cieśli i zawołałam: daj mi twój topór! — Cieśla puścił go na ziemię; schwyciwszy topór, do drzwi cerkwi poskoczyłam. Wszystkie siostry padły na kolana i ja na kolanach będąc, wołałam do Siemiaszki głosem wielkim:

— Byłeś naszym pasterzem, bądź teraz katem: jak Ojciec św. Barbary pastw się nad dziećmi twemi. — Oto masz topór, weź go, ścinaj głowy nasze — rzuć je w cerkiew twoję, ale noga nasza tam nie postanie! Nie pamiętam dokładnie słów, ale pamiętam tylko ogień obecności Bożej, który mię wskroś przejmował.

Powtórzyłam po kilkakroć: weź, proszę cię, weź ten topór, ścinaj głowy nasze!

Siemiaszko wytrącił nam topór, który przelatując ranił mocno w nogę jednę z sióstr naszych, Hortulanę Jakubowską.

Potem policzkując mnie okrutnie, wybił ząb jeden, który ja uczuwszy na języku, a z ust wyjąwszy, ofiarowałam Siemiaszce, mówiąc;

— Weź ten ząb na pamiątkę najpiękniejszego czynu twego; wsadź go pomiędzy ordery przykrywające kamienne serce twoje, a będzie błyszczał bardziej, aniżeli drogie kamienie, za które sprzedałeś twą duszę.

Wtedy Siemiaszko jakoby omdlał, wołając:

— Zmartwiły mnie, zmartwiły, — i spadł na ręce popów, którzy podali mu coś do picia — jam z siostrami zaśpiewała „Te Deum".

Wracając poprzemywałyśmy trochę rany nasze, i dalej do roboty. Siemiaszko zaś poszedł do czernic noc przebiesiadować. Słyszałyśmy niemal noc całą głośne hura na cześć Siemiaszki i Mikołaja, mieszające się z naszem śpiewem Bogu na chwałę i na dziękowanie.

Michalewicz mszcząc się na nas w rozmaity sposób, zemścił się nad kotłem żelaznym, który nam służył do ogrzewania brahy, którą od czasu do czasu dawali nam żydzi, litując się nad nami; rozbił go złośliwą nogą, miotając przekleństwa. Długi czas byłyśmy przez to pozbawione ciepłej strawy, o czem dowiedziawszy się

jeden z wielkich dobrodziejów naszych, żyd Jankiel, nowy kocioł nam przyniósł.

Michalewicz i czernice męczyli nas coraz bardziej; aż nakoniec Michalewicz, zawsze pijany, poślizgnąwszy się na dziedzińcu, padł głową w kałużę od deszczu i tam się zalał. Boże zmiłuj się nad duszą jego! Czernice wydziwiając nam, mówiły:

— Wasze to szczęście, że to nieszczęście w dzień nie w nocy się zdarzyło, bo by was na śmierć ubito (1840).

Od tego czasu przeszłyśmy pod zarząd popa Iwanowa, który nas jeszcze bardziej gnębiąc, bijąc, a grożąc, wołał: Ja nie Michalewicz!

II.

Przepędzenie do Połocka. — Więzienia i męki w Spasie (1840—1843).

We dwa lata po naszem przybyciu do Witebska, już w późną jesień 1840, ujrzałyśmy żołnierzy moskiewskich na dziedzińcu. Wnet skuto nas znowu po dwie za ręce i nogi, i popędzono, jak przedtem, nie mówiąc dokąd.

O! jakaż to była boleść nasza, gdy nam wydarto krzyż nasz, który nas przyprowadził do Witebska. Wydarto nam Ukochanego naszego, mówiąc:

— Wyście nie godne Chrystusa nosić!

Wyszłyśmy także w Piątek, w płaczu i jęku za Chrystusem, szłyśmy dwa dni, nic z żalu nie jedząc! Stanęłyśmy w Połocku w Niedzielę po południu.

Naprzód zatrzymano nas na placu publicznym, obstąpiwszy wojskiem, przez które lud biedny jak mógł, tak się przeciskał, nie zważając na kolby, któremi go okładano, a przerzucał nam to chleb, to inną żywność. Na tym placu zatrzymano nas do wieczora.

Wieczorem popędzono nas do klasztoru, dawniej Bazylianów, a wówczas zajętego przez popów i czernice. Otoczone ludem poczciwym, szłyśmy na nowe męki, jakby w tryumfie na tryumfy nowe. Oddano nas pod władzę protopopa Iwana Wierowkina, który z powrozem powiązanym w węzły okrutne chodził za nami ustawicznie, a zawsze pijany i smagał nas. Zaprowadzono nas na noc do izby bardzo wilgotnej, przeznaczonej na więzienie nasze, w którem zastałyśmy dziesięć sióstr Bazylianek, resztę z dwudziestu pięciu zakonnic, które zaczęto męczyć w tej samej porze, co i Bazylianki Witebskie, to jest o sześć miesięcy przed nami, i tymże samym sposobem. Z rozmaitej męki i znużenia wymarło już było piętnaście zakonnic, między któremi i ksieni, Honorata Różańska, już w podeszłym wieku. Wchodząc do więzienia, zastałyśmy sióstr dziesięć i jednego trupa.

Za wejściem naszem kochane te siostry, równie jak w Witebsku, rzuciły się nam do nóg, i temiż co i tamte słowy oddały mi się pod opiekę i posłuszeństwo, jednymże duchem natchnione.

Powitałyśmy się ze łzami, błogosławiłam nowym dziatkom moim i wychwalałyśmy Boga w gromadzie, dziękując mu za cierpienia, a prosząc o wytrwanie.

Między temi zakonnicami były dwie, które z otrzęsienia mózgu przez bicie i męki dostały pomięszania zmysłów; pomimo to, trzymano je w łańcuchach, jak nas wszystkie, przykuwano je do taczek i pędzono do ciężkich robót.

Jedna z nich umarła prędzej na moich kolanach, mając zerwane płuca od bicia i mordów, a kości jej były wszystkie pogruchotane, tak iż się ruszały wszystkie! Nazywała się Elżbieta Filihanzerówna.

Druga zaś, Teresa Bieniecka, żyła jeszcze ze sześć miesięcy. Dziwne a bardzo rzewne było jej szaleństwo. Przytomnie odbywała posługi około czernic, a gdy nas wypędzano do roboty, ona z taczką przykutą do nogi, zrywała się bijąc w taczkę jak w bęben, podnosząc swój krzyżyk jak sztandar do boju i pieśń rycerską własnego utworu dziwnym a silnym i dźwięcznym głosem śpiewając, wpatrywała się w Chrystusa Pana, głosząc go za mistrza, wodza i mściciela naszego. Myśmy płakały z rozrzewnienia, a popi, diaki, czernice itp. bardzo okrutnie tedy mordowali; ona zaś w uniesieniu jeszcze mocniej śpiewała, nigdy wprzód ni wierszy ni śpiewu nie znając ni lubiąc, i jeszcze mocniej krzyżyk w swem ręku ściskała, powtarzając: O! żadna siła nie odłączy mnie od Ciebie! Gdzie Twoje, tam i moje panowanie! Uniesienia te zawsze kończyła temi słowy: Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli! Wtedy się uspokojała, a po chwili do takiejże pieśni wracała.

Po sześciu miesiącach naszego pobytu w Połocku, wróciwszy do więzienia, zastałyśmy ją nieżywą, a całą we krwi. Znać przez Moskali domordowaną. Pokój jej duszy!

Obie te siostry nasze umarły nie w klasztorze Bazyliańskim, ale już w innem miejscu, zwanem Spas, po polsku Zbawiciel, gdzie był kościół dawniej unicki, potem jezuicki, a teraz cerkiew, a przy niej dom duży drewniany z ogrodem oparkanionym, a przy nim góra, zwana Łysą Górą. Otóż w kilka dni po naszem przybyciu do Połocka, przeniesiono nas z klasztoru Bazyliańskiego na to miejsce, dla tego, że w Bazyliańskim klasztorze łatwiej nam było o jałmużnę, którą nam z miasta przez mur przerzucano — a także dla tego, że kazano nam znieść Łysą Górę; a potem na tem wyrównanem miejscu murowałyśmy pałac dla Siemiaszki.

Naprzód więc przydźwigałyśmy z klasztoru Bazylianek na tę Łysą Górę wszelki sprzęt i ogrodowiznę. Potem oprzątnęłyśmy ten klasztor na mieszkanie Siemiaszki, a potem dopiero znosiłyśmy Łysą Górę.

W zimie następnej (1840—1841) nawiedził nas dwa razy biskup unicki połocki, Łużyński, apostata; ale ten bardzo się wstydząc apostazyi swojej, przeglądał nas tylko przy odczytywaniu imion naszych i wnet odchodził. Wchodząc, mówił nam: jak się macie, a odchodząc: bądźcie zdrowe. Tyleśmy go tylko słyszały. Niektóre z nas widziały łzy w oczach jego. Siemiaszko oskarżył Łużyńskiego przed cesarzem jako waryata, iż nie chciał nam przydawać męczarni. Odtąd już nas Łużyński nie nawiedzał więcej.

Zachowanie się czernic z nami było to samo w Połocku, co i w Witebsku; z tą różnicą, że ponieważ w Połocku było ich daleko więcej, daleko więcej było roboty przy ich posłudze i daleko więcej kijów.

Co do robót ciężkich, naprzód znosiłyśmy górę, biłyśmy kamienie i to kamieniami trzeba było rozbijać kamienie, od czego aż pot krwawy nas oblewał, ramiona mdlały i ze stawów wychodziły, guzy występowały po głowie i po karku, ręce okropnie brzękły i pękały. Znużenie było niewypowiedziane. Czas wypoczynku w nocy przepędzałyśmy siedząc, jedna o drugą się opierając, bo nawet nie można było położyć się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Sekretny sposób leczenia raka tajnego.

Często się trafia, że wielu ludziom wyrastają małe guzy na różnych częściach ciała, osobliwie na głowie, brwiach, pod uszami, na twarzy lub na rękach; takie guzy u niektórych przez wiele lat trwają jednakowe, bez żadnego bólu, i niektórych przyrasta potrosze; te małe guzy nazywają pospolicie martwą kostką, na czem się nieraz mylą, gdyż częstokroć bywa to rak tajny, Cancer occultus, który rznięciem lub plastrem poruszony obraca się w cancer nie uleczony, czego wielu doznało i życiem przypłaciło. — Taki tajemny cancer różni się od martwej kostki tem, że martwa kostka da się ruszać dobrowolnie pod skórą tam i sam, cancer zaś jako wkorzeniony, nie da się ruszać

Na raka nie otwartego, pożyteczne jest: przykładanie blachy ołowianej, natarłszy ją żywem srebrem.

Na raka w końcu palców najpewniejszem lekarstwem jest żywo rozpłatać kurczę lub też gołąbka i natychmiast, póki jeszcze mięso ciepłe, włożyć palec, i co 6 godzin powtarzać, a zawsze ze świeżym i ciepłym ptakiem, tedy ów rak całkiem wnijdzie w to mięso ptasze, a palec da ię łatwo potem każdą maścią wygoić.

Na raka i fistuły u nóg. Weźmij aurypigmentu, siarki z ziemi wykopanej szarej, wapna niegaszonego, każdego zarówno, utrzyj na proszek subtelny, a gdy go chcesz użyć wypłócz wprzódy ranę lub fistułę wodą ugotowaną z rozmarynu, z różą suchą i z babczanem liściem; dopiero potem zasyp ranę tym proszkiem. — Potem każda maść do zagojenia służyć już będzie.

Na rakową gangrenę.

Rzecz doświadczona.

Weźmij łajna świeżego od wołu lub byka, co na suchej paszy stoi, n. p. uncyj 4, i soli tyleż, sadzy szklących się połowę mniej, wina kieliszek; to wszystko rozmąć i nieco zagotuj na ogniu i potem rozłóż na chuście i przyłóż na ranę, nieodejmując prędzej, aż po 24 godzinach lubo z początku będzie ból dokuczający, jednak w końcu zobaczysz to ciało zepsowane wszystko strawione, a wtedy każda maść zagoić tę ranę może. — W takiej niemocy, należy się wszelkich gorących trunków wystrzegać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)